GONTYNA



ORGAN TOW. ARTYSTYCZNO-LITERACKIEGO
w SOSNOWCU

W. A.

Cena pojedynczego numeru 60 gr.

DWUTYGODNIK ILUSTROWANY

GONTYNA

ORGAN TOWARZYSTWA ARTYSTYCZNO-LITERACKIEGO

NR. 2. SOSNOWIEC, DNIA 1. KWIETNIA 1931 R. ROK I.

Przebrzmiałe akordy.

»Ze skłóconego chaosu mórz, nieba i ziemi świat powstał« — rzecze Owidjusz.

Kto wie, czy nie ten właśnie pogląd na pochodzenie wielu spraw i zjawisk jest jedynie właściwy przy należytym wyborze punktu widzenia na współczesne kłębowisko tez, myśli, doktryn, haseł, poglądów i owo zgoła matactwo zacietrzewionego kłamstwa tysiąca »izmów« wszechsztuki doby obecnej.

Gdyby nadto nie należało się liczyć z pewnem przysłowiem, które głosi, że porównanie nie zawsze jest racją, trudność byłaby może w połowie rozwiązana, ku uspokojeniu niewymarłych jeszcze poczciwców, zapadających na rozstrój nerwowy po każdej wystawie sztuki plastycznej, czy przeczytaniu tomiku poezyj naszych czasów. Bo możnaby takiemu porażonemu obuchem współczesności anachroniście wmówić, że przecież czas jest nieskończony, że nic nie trwa niezmiennie i wiecznie, że z rozkładającej się mierzwy różnoraki plon wschodzi, — że tedy z onego artystowskiego jarmarku, po odpływie podochoconego odświętnie i ponad miarę tłumu dostawców swoistego piękna i myśli, ostanie na miejscu.. miejsce na stawianie jeszcze nowszej sztuki, która przecież nie musi być podobna do dzisiejszej.

Gorzej jednakże, gdy sponiewierany staruszek przez gorzkie łzy zawodu skarżyć się będzie, że chciałby ot, teraz coś wiedzieć, czemś ducha, że tak powie, nakarmić, że pamięta jak to kiedyś Grottger, Orzeszkowa, Sienkiewicz... i że mu żal... A gdy zapyta jeszcze, co sztuka współczesna jego synowi zaszczepi, z czemby poszedł w świat, Narodowi służyć, Polskę budować?.., Cóż tedy onemu ojcu żyjących pokoleń a protoplaście idących powiedzieć należy?

Że dawniej była Polska w niewoli, że trzeba jej było Matejki, Żeromskiego, Grottgera, a dziś może tańczyć po butelkach i wyć po jawajsku...?

Że Kossakowa »Olszynka«, Styki »Racławice«, »Wierna rzeka« to już nie na dziś, że jak murzyn, co swoją powinność spełnił, odejść już mogą?...

Że dzieciom wyjarzmionej Matki już niepotrzebne dawne sztuki zawołania, że myszką dziś trąci credo z przed półwieku:

„Polsko Ty moja, gdy już nieprzytomni
„Będziemy, wspomnij Ty o nas, o! wspomnij!
„Bośmy z Twojego zrobili nazwiska
„Pacierz, co płacze i ogień co błyska?"

Że dziś nowe obowiązują hasła, bośmy u siebie — w państwowym domu — bezpieczni od bolszewickiego sąsiada, miłowani przez bliski lud Zachodu, bo serdecznie a czule myślą o nas businesmany Albionu i rentjerzy siostrzanej Francji?

Że już walki i trwoga o losy tej ziemi do przeszłości należą i nic tylko spokój błogi i szczęśliwość nas czeka? Że nie musimy chować swej nacji w duchu gotowego na wszystko poświęcenia, bo jedno stanowimy wszyscy potężne ciało narodowe i niema już między nami walk, tarć i »swarów potępieńczych«, bo feralna trzynastka lat istnienia Rzeczypospolitej zaprzeczyła już wszelkim grzechom przeszłości, ugruntowała niepożytą moc i ducha Narodu?

Że tedy ukrywszy dostojne szczątki wieszczów w podziemiach Wawelu, a dzieła ich wielkie w muzealnem zaciszu, mamy prawo, w nowiuteńkie a nie przechodzone szaty odziani, czystej, wolnej od wszechmyśli i obowiązku sztuce ofiary składać?

Cóż jeszcze natrętnemu dzwonnikowi lat umarłych powiedzieć trzeba?

Że owo Mickiewicz musiał salwować z rozbicia nację polską na wygnaniu, do przeczutych małogoskich ją bojów sposobić, więc mu właśnie Księgi Pielgrzymstwa i Dziady potrzebne były —

że Słowacki rozpamiętywaniem katorżnych trudów nację swą ku Wolności miał twarzą obrócić, więc mu się marzył Anhelli?

Że Grottger rozpacznym krzykiem ducha Murawiewów przeklinać musiał za krew, kajdany i tajgę, więc swe »literackie« cykle, jak wizerunek świętego Florjana w obliczu pożogi wystawiał?

Że Sienkiewicz »serca krzepienie« od polskiego Boga otrzymał, a Stefan Żeromski, bohaterski wódz irredenty, »rany narodu rozrywać był winien, by się nie zabliźniły błoną podłości«...

Tak było kiedyś, gdyśmy w wojnie z najazdem o prawo do życia trwali. Kto głową ponad tłumy wyrastał, własny odcinek Ojczyzny na odprawie Duchów otrzymał, aby go broniąc umocnił i do ataku, co o każdym mógł być otrąbiony czasie, przygotował.

I zrywały się z onych przyczółków zastępy— by »jak kamienie przez Boga rzucane na szaniec« śmiercią pieczętować przez wieszczów głoszone dogmaty Wolności, Niepodległości i Zjednoczenia — pod wodzą Dąbrowskich, Poniatowskich, Chłopickich, Trauguttów, Piłsudskich, Okrzei — aż po wieku ciemnicy katorżnej wyszedł Naród ku światłu, jak górnik z zalanej wrażym strumieniem kopalni.

A Ci, co w pierwszym szeregu wojującego narodu kroczyli — hetmani i sprawcy, odszedłszy wiekuistą przecie u potomności chwałę zdobyli. Naród ich między święte policzył, a przykazania Ich w marmurze ryć począł.

Ulice miast swoich pamięci sławnych swych przodków poświęcił, szkoły imieniem chrzcił zasłużonem, fundacje ku czci pomarłych utworzył, prochy doczesne do Panteonów wprowadził, rocznice święci czasem poza dziesięcioleci koleją... Wiadomo.

Czyż niedość starcze? Czyż można więcej oddać minionej bezpowrotnie przeszłości?

Nowe dziś czasy, nowe przed Narodem cele, po nowych drogach idziemy... Inny wiew powiał po całym świecie

Ze wschodu runęło hasło: »Dałoj — precz zd starzyzną!« My nowe życie stworzym, na nowych podwalinach, wolnych od wszelakiego obowiązku, wyzutych z wszelkich pietyzmów i kultów. »Wszystko jest względne!« wrzaskiem pieczętuje wesołek, komentując »celowo a zręcznie« jakby umyślnie na ten czas stworzone teorje...

Tak, starcze, jak »Jamiołowe« dziewczątko z wozu pijanego woźnicy wypadłeś i już zostaniesz zapomniany na drodze ze swym lękiem i rozpaczną zgryzotą.

Próżno wołasz na migające w kwadrygach upojone lekką sławą, rogate mistrze. Daremnie rzucasz za nimi straszne pytanie: »Coście, opętani, z testamentem Ojców zrobili, w co za waszem dotknięciem zamieniła się mowy Słowackich szata godowa, jakiem prawem swe podrygujące w degenerackim rytmie twory obdarzyliście dostojną nazwą poezji, kto śmiał Was wpuścić z saxofonem cyrku i piszczałką ludożercy na chóry Szopenowskiej natchnionej muzyki?«... Daremnie wołasz...

Bo nie ujrzysz już za życia tryumfu swych ideałów. Już ci żadne płótno Chocimskiej nie ukaże glorji, ni baterji Bema w trzydziestego roku potrzebie, już Ci zesłańce sybirscy z obrazu, przy wigilijnym stole, zadumy tragicznej pełni, serca ku przeszłości nie zwrócą, ani z ram wyjrzą zaprzedane Sprawie oczy śląskiego powstańca, już nie usłyszysz przez łzy śpiewanej piosenki staruszka plebana o Samosierze, ani opowieści o dumnych dzieciach kresowego szlachcica, stojących na straży przy szabli Pierwszego Polski Ułana.

Sztuka — dla sztuki jest tylko! Wara jej słuchać cudzych poszeptów, choćby to miały być echa tragedji Narodu, choćby Ewangelja czynu, choćby to miał być dank Chrystusowej sprawiedliwości za życie Matce zwrócone, choćby to miał być Zew do niedalekich może bojów o całość własnego strzępa ziemi, choćby to były najświętsze przykazania....

Niema dziś na to miejsca! Słowo ma zostać tworzywem kuglarskich, przestawień i zwrotów, koloryt i linja wyuzdanym służyć łamańcom, glina i marmur co nieśmiertelne rysy wodzów minionej epoki w ciało oblekły, paskudztwem, z którego jednookie i skręcone w konwulsyjnym podrygu chore manjactwa powstają.

Nie trzeba już nic wzniosłego, bo wzniosłość »nie idzie«, nie trzeba piękna bo »tężyzna« się kułakiem rozpycha, precz z »sułkowszczyzną«, bo tajemnice Broadway'u rynek zdobyły, do archiwum »Kryjaków«, bo Pitigrilli trafniej »realną aktualność wyczuwa« — »dałoj« patos i gwiazdy, bo nagie, gołe, rozebrane puryzmy i konstruktywizmy »generalmarsza« trąbią, precz z hymnami, bo »bubliczki« je winny zastąpić!

»Na żebry pójdziesz starzyzno! prosić« od proga do proga o chleb dla ducha, ale ci go dziś nikt nie poda.

Mieczyław Ocioszyński.

O charakter inteligencji.

Pisma wszystkich obozów przed kilkunastu dniami podały wiadomość z Włoch, iż Mussolini, chcąc zbadać istotne nastroje ludności, wybrał się incognito na uroczyste zebranie faszystowskie. W czasie zebrania zagrano hymn faszystowski. Wszyscy powstali. Mussolini siedział. Wtedy ktoś z obecnych, nie poznając dyktatora. rzekł mu na ucho: „Jesteśmy wszyscy tego samego zdania, co i pan, lecz w kraju faszystów nie jest bezpiecznie w takiej chwili siedzieć...“

Fakt powyższy od zwierciadla względne nastroje tłumów, ujemne światło rzuca na charakter zgromadzonych, przemawia dobitnie, że na cześć hymnu faszystowskiego wstały manekiny, a nie obywatele, na których charakterach można budować przyszłe niezachwiane dzieje państwa.

Fakt ten bije nas w oczy dzisiaj, gdy charaktery słabe, pokornie zginające swój kark przed różnemi urojonemi wielkościami, opanowują nasze życie społeczne. Dzisiaj biada temu, ktoby chciał mieć swój sąd o rzeczy wyraźny, niezależny, śmiały. Przekreślany będzie w życiu społecznem... nietylko karjera, ale nawet posada jego zostanie pod znakiem zapytania. Rozwój jednak kulturalny życia Polski, jak również i każdego społeczeństwa, nie może się opierać na wielkości charakterów mas społecznych.



E. Gorgoń Czarodziej.

Masom przewodzić winna inteligencja.

Niestety na życiu Polski, a na życiu inteligencji szczególniej, ciąży demoralizacja, stosowana przez długie lata skutecznie przez zaborców.

Zabory utrzymywały swoją hegomonję nad Polską nietylko siła oręża, ale i to przedewszystkiem, systemem deprawującym nasze życie społeczne, wprowadając do społeczeństwa żagiew nienawiści kastowej i odgradzając murem sfery inteligencji od wpływów na warstwy ludowe i robotnicze, Posługiwano się przytem przysłowiowym rublem i orderem.

Co więcej, w szkołach i uniwersytetach w młodzież, niejednokrotnie z ludu się rekretującą, starannie wpajano niechęć i nienawiść do rzesz demokratycznych I wyrastali w tych warunkach często tacy inteligenci, którzy uważali lud za ciemny las, z którego gąszczu bezpowrotnie wydarli się ku słońcu.

Gwoli słuszności stwierdzić trzeba, iż nie zdołano całej inteligencji zniepráwić. Głos jej wyrażał się w tajnej literaturze i prześladowanych przez cenzurę pismach, budził śpiących i brzmiał jak dzwon w ciemnościach.

W walce jednak z zaborcą na początku bieżącego stulecia nie widzimy mas tej inteligencji. Rozbudzony lud roboczy w roku 1905-ym, świadomy swej kultury i swej roli, piersiami swemi osłaniał honor Polski, tłumnie przelewając krew na ulicach Warszawy, Łodzi, Sosnowca... Na szubienicy i w więzięniach ginęli robotnicy (Okrzeja, Montwiłł...); stosunkowo znikoma część inteligencji udział w walce przyjmowała.

A gdzież tysiące inteligencji?

Inteligencja zerwie się do czynu, gdy świty nad Polską się ukażą.

Zbudzi się potężnie dopiero w blaskach odradzającego się Państwa. A po latach dziesięciu niezależnego bytu rozpadnie się na cząsteczki, na partje i obozy, na koterje i wysokie lub niskie stany, wśród których hula głupota, hultajstwo i karjerowiczostwo.

Coraz częściej na stanowiskach wszelkiego rodzaju osiada nie ten, kto reprezentuje istotne wartości, lecz ten, kto może wykazać przynależ-

Sprostowanie.

Na str. 3-ej, odstęp 3-i, wiersz 20-y ma być: **„charakterów jednostek, ale musi żyć i iść ku przyszłości siłą charakterów mas społecznych".**

ność swoją do takiej lub innej koterji, kto umie wpas się kłaniać, kto posiadł sztukę okłamywania siebie i innych...

Wśród naszej inteligencji zamiera sąd opinji niezależnej. Nikt nikomu nie wierzy... wrasta w życie społeczne w stosunku do kolegów nieszczerość, intryga, a w stosunku do zwierzchników płaska uniżoność, jaką tylko można było widzieć w czasach zaboru carskiego, a którą wtedy nazywaliśmy „stupajkostwem", a panów uniżonych „stupajkami".

Nic dziwnego, że obywateli z takich sfer łatwo jest znieważać, można ich wsadzać bezkarnie do kozy, kazać im stać na baczność przed lada pastuchem... można ich łamać i wyzyskiwać. Ktoś, znający naszą inteligencję pracującą powiedział. iż gdyby jej zdjęto z nóg ostatnie buty - jeszczeby boso pomaszerowała do warsztatów swych prac bez zajęcia zdecydowanego stanowiska, bo niemasz wśród nich charakterów.

Wiek dzisiejszy musi się oprzeć na charakterze zbiorowości.

Przed każdym bowiem obywatelem leży odpowiedzialność za naszą teraźniejszość i przyszłość. Niewspółmiernie większą odpowiedzialność ponosi elita społeczeństwa — inteligencja. Zrozumienia dla tej odpowiedzialności i jej przyjęcia domaga się we wszystkich swoich pismach i mowach Wielki Wychowawca obywatela dzisiejszego.

Tymczasem nad inteligencją naszą zaciężył wiek klęski. Charakter jej oddzielił ją murem od wpływów na warstwy ludowe i robotnicze. Obecnie mur ten rośnie. Konia z rzędem temu, kto wskaże, gdzie sfery inteligencji posiadają zrozumienie i zaufanie mas ludu.

Tymczasem dzisiaj najaktualniejsza powinna być myśl Krasińskiego „z szlachtą polską polski lud, jak dwa chóry jedno pienie", z inteligencją polską polskie warstwy ludowe i robotnicze.

W rozwiązaniu tego zagadnienia w oparciu inteligencji o siły demokracji, leży moc i charakter inteligencji. Pierzchać tedy muszą półsłówka, półcharaktery i karjerowicze. Lud ich zna.

Odrodzonej Polsce potrzeba inteligencji któraby zżyła się z ludem, troski, bóle jego i na swe barki wzięła, wspierała go radą i pracą, nie handlowała jego sumieniem i zaufaniem, ale poprowadziła go do dobrobytu i ku światłom krynicznym kultury...

Potrzeba nam inteligencji, którąby przed Polską i światem rozbudziła cześć „nietylko dla szabli i munduru, ale, i to przedewszystkiem, dla zgrzebnej koszuli i bluzy robotnika".

Tędy wiodą drogi ku nowej kulturze Polski, od której rozwoju zależy jej przyszłość i wielkość.

Br. Górecki.

PIORUN.

W deski obity
Pnie się w błękity
Monument,
Rycerskiej chwały
Wielce wspaniały
Dokument.
Zdumiewa dziwnym,
Prawdzie przeciwnym
Biegunem:
Z głębin Erebu
Strzela ku niebu
Piorunem.

Symbol ten świetny
W beton szlachetny
Wcielono
I uroczyście
Niegdyś w asyście
Święcono
Gdzież więc są mistrze
Co się tak bystrze
Wsławili?
I czemu w deski
Piorun niebieski
Spowili?

Czyżby się Boga,
Czy Jednoroga
Lękali,
Czy też nadzieję,
Że sam zniszczeje,
Chowali.
Przecież to lata,
Odkąd go krata
Niewoli.
Kiedyż więc w górę
Strzeli pod chmury
Z niedoli?

Om.

Co słychać na legendarnej wyspie Nipu?

(Korespondecja własna naszego pisma od znakomitego podróżnika i znawcy krain egzotycznych p. Z. — nazwiska na żądanie autora tymczasem nie ujawniamy — będziemy drukować w miarę nadsyłania)

Błogosławieństwo Wielkiego Ducha spłynęło na piękną wyspę Nipu od czasu, gdy po straszliwej burzy podzwrotnikowej wzburzony ocean odstąpił z ziem, zalanych rozszalałym potopem, uwalniając przepiękne wnętrze tej niesamowitej wyspy.

Wielki Duch pobłogosławił tej krainie, szczodrze rozrzucając na jej obszarze malownicze bory, szachownice pól kokosowych i łąk, poprzecinanych modrą wstęgą rzek i rzeczułek; dając jej w godzinie łaski wspaniałe krajobrazy szczytów górskich oraz zielonawe

— skrzące się w blaskach promieni słonecznych — fale morskiego żywiołu.

Ledwie tedy ocean ustąpił z tych ziem, godnych pendzla najlepszego artysty, zaroiło się na nich od krajowców.

Zawrzała praca.

Wnet utworzono „Radę Wielkiej Fajki" oraz „Radę Wielkiego Dywanu":

„Rada Wielkiej Fajki", która wyszła z wyborów, — hojnie obdarzyła swój naród wszelkiemi dobrodziejstwami.

Każdy krajowiec został ubezpieczony od ognia, wiatrów, burzy, gradobicia, złego spojrzenia, od choroby, niemocy męskiej, wypadku, starości i bezrobocia — nie był tylko ubezpieczony od głupoty, gdyż Rada nie wiedziała, jak to zrobić.

Olej rycynowy wydawano bezpłatnie wszystkim obywatelom ubezpieczonym — w razie zaś cięższych wypadków — aspirynę.

Za te wszystkie dobrodziejstwa ściągano wprawdzie z Nipuańczyków pewne sumy, które jednak nigdy nie przekraczały wartości dwumiesięcznych zbiorów orzechów kokosowych, stanowiących wyłączny środek zarobków owych szczęśliwych ludzi.

Również i nauczanie gry na kobzie było w tym błogosławionym kraju bezpłatne.



Fot. W. Araszkiewicz. Bacowie z „Podżabiego".

Jedna była tylko w tym wada, że nie wszyscy mogli pomieścić się w pięknych, wspaniale urządzonych gmachach szkół nipuańskich — wskutek czego przyjmowano tam przedewszystkiem najlepiej prezentujących się zewnętrznie i pod względem wychowania młodzieńców, oraz tych, których ojcowie zajmowali w tym kraju poważne stanowiska.

Chodziło bowiem o to, żeby ci właśnie nie płacili za szkoły — inni zaś — synowie kulisów — zmuszeni byli opłacać w innej kategorji zakładach poważne kwoty nipuanów (monety miejscowe) — w czem zresztą hojna „Rada Wielkiego Dywanu" (po naszemu — rząd) częściowo ich wyręczała.

W ten sposób przemądra zasada wielce zasłużonego dla tej wyspy filozofa i maga Nipu-Nipu — zasada, streszczająca się lapidarnie w słowach „dookoła Wojtek" — tryumfowała na wyspie.

Poza temi dobrodziejstwami — każdy Nipuańczyk miał bezsporne prawo rozweselenia sobie duszy przedziwnym napojem, wyrabianym z soku orzechów kokosowych, zwanym w języku tubylców „Si-wu-cha". Napój ten miał przedziwną własność. Najpoważniejszy obywatel nipuański po wypiciu kilku miarek owego odżywczego środka — cieszył się bez przyczyny. Radość swą wyrażał w niesamowitych gardłowych okrzykach oraz w załatwianiu w najruchliwszych miejscach wyspy czynności, które w pobliskim gaju kokosowym czynić był powinien. Ów czarodziejski napój, (który — dzięki dziwnemu zwyczajowi tubylców — w soboty i niedziele pito w innych naczyniach, niż w dni powszednie) rozdawany był szczodrze w specjalnych pagodach, gdzie przy niesamowitym ryku instrumentów tubylczych — tańczyły gwoli rozweselania krajowców — nagie odaliski — a w przerwach — nieco więcej ubrane Nipuanki i Nipuańczycy z przeznaczonemi do tego celu przez opasłego, a chytrego Nipuańczyka tancerkami i tancerzami.

Taniec taki polegał na smętnem podrygującem tarciu się o siebie.... aż do skutku, to jest do zmęczenia. Wtedy rozbawione damy nipuańskie zasiadały na matach — racząc się obficie odżywczym sokiem z kokosów oraz mocno zaciągając się z dużej nipuańskiej fai.

Z wrażeń turystki.

Wagonik kolejki zębatej, postukując jednostajnie, wspinał się na Hrebenok. W powietrzu wisiała mgła, którą tylko nasze bardzo dobre chęci starały się rozproszyć, bo naprawdę nic nie wróżyło pogody. Jakoż mgła po niedługiej chwili przeszła w „mżyczek", a ten po krótszej jeszcze w beznadziejną kurzawę deszczową. W rzęsistym już deszczu, po wyjściu z wagonika, kręciliśmy się po małym peronie w nieuświadomionej nadziei znalezienia jakiegoś mądrego rozwiązania, że jednak była już godz. 12-ta w południe, a mieliśmy tego dnia być na Pośredniej Grani, albo wracać przez Rohatkę ku domowi, trzeba się było zdecydować. Aura w międzyczasie ustaliła się na dobre — „od nieba do ziemi". Ze wspinaczki należało zrezygnować. Postanowiliśmy wracać.

Niezwykłe warunki każdej górskiej wycieczki mają to do siebie, że humoru nigdy na długo utracić nie można, to też, narzuciwszy koce na głowy, raźno ruszyliśmy w górę ku Staroleśnej.

Staroleśna należy do najwspanialszych dolin Tatr Wysokich. Od północnego wschodu piętrzy się nad nią wytworna Pośrednia Grań, poglądając poprzez woniejącą od kosodrzewu dolinę ku osiadłemu na srebrnozielonym piargu Staroleśniańskiemu szczytowi. Zdala zamyka dolinę rodzina Jaworowych Szczytów, ukazując nad swe dumne czuby odległy masyw Lodowego.



Fot. W. Araszkiewicz. Koperszady.

Z początku szliśmy krok za krokiem w nieprzeniknionym gęstym tumanie, przesłaniającym świat na kilka kroków. Deszcz ustał, a trawa, kosodrzewiny głazy, potok i ściany niedalekich olbrzymów oddawały przestrzeni wilgoć, którą nasiąkały przez długie godziny „siompawicy".

Nasze koce powoli ciężały, chłodły — wreszcie poczęły sączyć dojmującą wilgoć.

Po godzinie marszu mgły poczęły się wznosić ku górze, ociężale i wolno, jakby przeczuwając, że niedługo znów spadną na ziemię w postaci deszczu. Jednolita masa mgieł, spychana przez wiatr, rozstępowała się gdzieniegdzie, ukazując, jakby w oknach, tajemnicze czarne fragmenty skał.

W pewnej chwili oczom naszym ukazała się majestatyczna i piękna w nierozwianym jeszcze kołpaku chmury Pośrednia Grań. Niedługo jednak cieszyliśmy się jej widokiem. Pędzone od strony Strzeleckich Pól, mgielne marudery pokryły ją swym chaotycznie uciekającym tłumem. Zato nad polami wyłoniły się oba Jaworowe z rozpadliną Rozdziela.

O 4-ej popołudniu byliśmy nad stawkiem u stóp Staroleśniańskiego szczytu, a w kwadrans później w Trupiarce. (Sympatyczną tę nazwę nosi prymitywnie zagospodarowane schronisko czeskie na najwyższem piętrze doliny). W schronisku popasaliśmy niedługo. Po 5-ej stanęliśmy u zbocza Rohatki, a o 7-ej na samej przełęczy. Pogoda dotrzymywała o tyle, że nie lało się za kołnierz. Mgły jednak wytrwale krążyły u szczytów.

Z przełęczy schodziliśmy ku Zmarzłemu Stawowi w coraz gęstszym mroku. Nad stawem było już prawie ciemno z powodu zapadającej nocy i nadciągającej burzy.

Położenie nasze nie było zbyt wesołe. Z niemiłem uczuciem niepotrzebnego spóźniania zatrzymaliśmy się nad Stawem, aby wydobyć latarki. Zahuczał pierwszy daleki jeszcze grzmot. Spadły pierwsze krople deszczu. Przegląd latarek dał wyniki zgoła nieoczekiwane. Obie baterje z niezbadanych powodów zaledwie słabe dawały błyski. Byliśmy skazani na przebycie całej doliny Świstowej, aż do szałasu pod Wysoką bez światła, po nocy i nadomiar w czasie burzy, która, nie wiadomo, jak długo miała nam towarzyszyć.

Po chwili ogarnęły nas nieprzeniknione ciemności. Zimny burzliwy deszcz bił po twarzach, przemaczając mokre jeszcze od popołudnia koce i uniemożliwiał wszelkie widzenie. Posuwaliśmy się naprzód czuciem stóp i jakąś zdeterminowaną wolą orjentacji. Wkrótce jednak tryb ten okazał się niemożliwym. Po kilkudziesięciu krokach względnie równa ścieżka wchodziła między skałki, powodując na razie zabawne potykanie się i bezpieczne jeszcze upadki. Wiedzieliśmy jednak, że zbliżamy się ku miejscu, gdzie potok ze Zmarzłego Stawu przecina ścieżkę i o parę kroków spada z kilkunastometrowego progu na niższe piętro doliny W tym czasie burza przybrała na sile. Raz wraz błyskawica rozdzierała ciemności, a ogłuszający grom przewalał się po dolinie hucząc i zgiełcząc w urwiskach Świstowych Turni.

Ścieżka zmieniła zupełnie konfigurację. Wytężyw-

szy cały taternicki spryt i umiejętność w świetle błyskawic i zapalanych pod kocami zapałek, wymacując nierówności skał rękoma — znaleźliśmy wreszcie niechybnie krytyczne miejsce. Rozpoznanie pobliża wodospadu ułatwił nam zresztą jego szum, zagłuszany przez spadający deszcz. Po chwili byliśmy już na względnie bezpiecznej drodze, o ile bezpieczną drogą nazwać można ścieżkę górską — ginącą co chwila w rumowisku drobnych kamieni i kołującą wśród wielkich głazów. Jeszcze jednak kilkanaście potknięć, kilka upadków na płask, wtył i na bok, kilka przycięć języka i otarliśmy się o pierwsze krze kosodrzewiny. Tu, trzymając się ich giętkich gałęzi, wyczuwaliśmy ścieżkę pewnie i szybko schodziliśmy ku Polanie.

W międzyczasie deszcz począł się przesilać, aż wreszcie ustał zupełnie.

Gdy nieodłączne mgły rozdarły się na chwilę, zabłysnął księżyc i w jego poświacie ujrzeliśmy wyrastającą z lasów polany ponad bliski nam kosodrzew, gigantyczną budowlę Młynarza. Stalowo-srebrne, seledynowe, błękitne i opalowe smugi i światła pełgały po stromej ścianie znanego nam dobrze olbrzyma, tworząc zeń na granatowo-czarnem tle nieba, jedyny w swoim rodzaju, wspaniały, niezapomniany obraz.

Zapatrzeni w cudowne widowisko, staliśmy w mokrej zbutwielinie kosodrzewu przez dobrą chwilę. Wreszcie jednak trzeba było ruszać w dalszą drogę. Dla zabezpieczenia się przed wielkiemi owczarskiemi psami, które spodziewaliśmy się zastać przy bliskim już szałasie, poczęliśmy nawoływać znanem na Podhalu „hijahuahua".

Po chwili ponad las i gaje kosodrzewiny zabłysły jakieś ognie i rozległy się strzały.

Okazało się później, że w ten sposób dawał nam sygnały, obozujący podówczas na Polanie, Instytut, Geograficzny U. J. z Krakowa.

Marja Ocioszyńska.

Asowi.

Pan reporter gazety,
By uczynić konkietę
I dać światu uciechy kruszynę,
Pióro w occie umoczył
Zezem wokół zatoczył
I pokarać umyślił Gontynę,

Że ukazać się śmiała,
Gdy już spraw wielkość cała
Godnych sobie znalazła rzeczników,
Bo nie powie nikt przecie,
Ani tu ani w świecie,
Czego niema na łamach dzienników.

O odmianach kultury
Napisano już góry
Artykułów w Kurjerze i Gońcu.
Czyż więc trzeba Gontyny,
Aby godne doktryny
Wystawiono podszewką ku słońcu?

Mamy rok już trzydziesty,
Więc spoźnione są gesty
I z „patosem" głoszone ideje,
Bo z asfaltu boiska
Prawda na świat wytryska
I nie z gontyn po ziemi wiatr wieje.

Serc i mózgów „słabiznę"
Czas zastąpić tężyzną.
A Pegaza motorem i autem.
Dziś się tłum żwawo garnie,
Gdzie kultury latarnie
Bokser w oczach zapala knockoutem.

A cóż na to Gontyna,
Gdy tak pięknie poczyna
Wojewoda od walki z pismami?
„Że tak zawsze i wszędzie
„Było i pewnie będzie
„I ludkowie są zawsze ci sami?

„Że jak w dżungli po świecie
„Jedna się nić wciąż plecie —
„Walki jawnej, brutalnej, zelżywej,
„Gdzie walczącym jest jedno,
„Czy trafili w spraw sedno
„Byle słowa rzucili zajadłe.

Zet.

REMINISCENCJE.

8 lat temu powstało na terenie Zagłębia zrzeszenie ludzi, pragnących poruszać zaśniedziały w materjaliźmie ruch umysłowy, i ożywić, oraz skupić twórczość artystyczną w najszerszem słowa tego znaczeniu.

Zrzeszeniem tem jest Tow. Artystyczno-Literackie, zwane w skrócie T. A. L.

Kilku zaledwie ludzi wzięło na swe barki tę zaiste niesłychanie trudną pracę.

Rzucili się z iście młodzieńczym entuzjazmem do roboty.

Utworzono trzy sekcje: literacką, malarską i muzyczną.

Pierwsza (częściowo przy pomocy drugiej) stworzyła kilka szopek satyrycznych, wydała pismo (jednodniówkę), wystawiła kilkanaście kabaretów artystyczno-literackich; druga rozpoczęła serję wystaw sztuki plastycznej, dając rok do roku, a czasem i dwa razy do roku — wystawy prac zarówno artystów miejscowych, jak i zamiejscowych; trzecia — w krótkim czasie stworzyła orkiestrę symfoniczną oraz zespół chóralny które po paru miesiącach istnienia — wskutek niemożności znalezienia odpowiedniego lokalu — przestały istnieć.

Poza pracą ściśle artystyczną Tow. starało się również ożywić życie towarzyskie Zagłębia, urządzając kilka większych imprez zabawowych (maskarady) w oryginalnie dekorowanem otoczeniu, oraz szereg mniejszych imprez („czarne kawy"), połączonych z produkcjami artystycznemi.

Jednocześnie Tow. wzięło czynny i nieraz decydujący udział w życiu społeczno-kulturalnem i narodowem (akademje, obchody, udział w komitetach o różnych celach).

Jak widzimy, praca dzięki mocnej i zdecydowanej woli kilku jednostek raźno zaczęła posuwać się naprzód.

Ale cóż! Zaraz na samym początku spiętrzyły się ogromne trudności: brak dopływu świeżych sił (przez co praca spadała na barki ciągle tych samych osób)

i dotkliwe braki finansowe, a przez to niemożność posiadania własnego — choćby kąta. To paraliżowało każde zamierzenie T. A. L-u.

Mimo tych trudności, tułając się po różnych pokoikach, dokładając nieraz z osobistej kieszeni do różnych imprez (zwłaszcza do pierwszych wystaw) — rycerze T. A. L-wi. przebojem — bez niczyjej pomocy finansowej — torowali sobie drogę, a wiara w potrzebę prowadzenia tego rodzaju pracy — dwoiła, a nawet troiła niewspółmiernie do podjętych zadań siły.

Wkrótce jednak i ta nieliczna gromadka, stojąca zwartym murem wokół sztandaru T. A. L., zaczęła się przerzedzać: śmierć zabrała kolejno kilka sił pierwszorzędnych, jak A. Żabicki (sekcja muzyczna), Z. Rychter (sekcja literacka) oraz A. Kwinta (sekcja malarska).

Mimo to — pozostała grupa pierwotnego bractwa kroczyła niezmordowanie naprzód. aby niedopuścić do zagłady tego, co już zostało stworzone..,

Zdawałoby się, że fakt czynnego podtrzymania mimo wszystkie trudności idei pracy artystyczno - kulturalnej — zasługuje na poparcie i współpracę ze strony tych wszystkich, którym z tych czy innych względów idea ta winna leżeć na sercu.

Tymczasem — cóż się dzieje?

Oto — od samego początku istnienia T. A. L-u. pewne sfery społeczeństwa, a zwłaszcza pewne odłamy prasy — starały się pracę tę podciąć, a T.A.L. zniszczyć lub przynajmniej (w miarę możności) zdyskredytować w oczach społeczeństwa.

Zaczęto „akcję" od strony finansowej (60% podatku od dochodów brutto z przedstawień pierwszej szopki), później rzucono się na stronę krytyczno - moralną. Zwłaszcza szopki T.A.L. stały się ową czerwoną płachtą na byka. Miejscowe wielkości, których — trzeba przyznać — nie szczędzono, zdumione niesłychanem „zuchwalstwem" garści ludzi — i to ludzi „bez pleców" — zaczęły w sprytny sposób inspirować prasę do walki z T. A. L-em. Zaczęły się zajadłe ataki, tendencyjne krytyki, — byle przekonać publiczność, popierającą imprezy szopkowe, że to szatański i mocno niekulturalny wymysł.

Podstawą tych ataków — było owo chorobliwe „węszenie" wszędzie, a więc i w szopkach, — polityki — niesłychanie smutny objaw życia Polski Odrodzonej.

Polityka bowiem potwornem, nieznośnem jarzmem zaciążyła na całem życiu kulturalno-społecznem, a nawet towarzyskiem.

W zdemoralizowanych rozpolitykowaniem mózgach nie może się pomieścić myśl, że ktoś może coś robić niekoniecznie dla osiągnięcia w najbliższym czasie takiego, czy innego „stolca".

„Chyląc ku ziemi poradlone czoło —
„Takie świata widzi koło —
„Jakie tępemi zakreśla oczy"... (A. Mickiewicz)

Do ataków o tendencjach politycznych dołączyły się inne — o charakterze animozyj osobistych, urażonych ambicyj zawiedzionych „apetytów" finansowych i t. p.

W ostatnich czasach wszystkie te tendencje podały sobie w imię „świętej" solidarności ręce — i rozpoczął się wściekły ogień z dział większego (bo częściowo moralnego) kalibru na „Okopy św. Trójcy"

Rzucono się zajadle na T.A.L., ukrywając przezornie istotne przyczyny napadów poza sztandarem dobra sztuki i t. p.

Posypały się liczne zarzuty. Jedni po ojcowsku „radzili", inni „zarzucali", jeszcze inni bez ceremonji wylewali z wezbranego łona żółć, zabarwioną octem, a niekiedy i mniej wonne substancje...

Jednej rzeczy tylko nie można zrozumieć: dlaczego ci, którzy pragną dobra sztuki — (załóżmy, że mają dobrą wolę) nie wezmą się do roboty, aby mniemane zło poprawić?

Jeśli nie podobają im się ludzie, kierujący T.A.L-em, niech ich zastąpią: fotele w zarządzie T. A. L. nie są dziedziczne.

Należy przeto, zamiast gadać wstąpić do T. A. L., przemówić do „ludu" zająć stolec i rozpocząć wielką nową erę. Niestety! tego zrobić nie chcą; wszyscy krytycy — to ludzie, którzy nie są członkami T.A.L. (albo jeśli nimi są — to nieczynni) chcieliby rządzić bez trudów bez włożenia nietylko kapitału pracy — ale nawet jednej złotówki składki członkowskiej! Ot poprostu: „ja sobie tam siedzę na wyżynie Olimpu, a wy tam (tu gest w stronę „ludu") macie mnie słuchać!".

Bardzo wygodna pozycja!

Ale tego rodzaju „praca" dla sztuki, mająca na celu dyskredytowanie w oczach społeczeństwa istniejącej instytucji, — jest wysoce niekulturalna i szkodliwa — i nie widzimy w niej rzeczowego ustosunkowania się do samego zagadnienia — ustosunkowania, wypływającego ze szczerego umiłowania owej „sztuki".

Inne bowiem są drogi do doskonalenia instytucji: te drogi — to nie gadanie (prywatne, czy po gazetach) — lecz praca, praca twórcza, rzetelna, bezinteresowna, praca w samej instytucji, popieranie jej, doskonalenie.

Wszystko inne — to blaga! Blaga drapująca się w togę wzniosłości, szlachetności — a w gruncie złośliwa, podkopująca, burzycielska!

Ale nie dziwmy się! Kto patrzy na świat trzeźwem okiem, wszystko zrozumie!

Łatwiej w Polsce o blagę — niż o pracę — łatwiej burzyć — niż tworzyć!

Ararat.

WARUNKI PRENUMERATY: miesięcznie 1 zł. 20 gr. — kwartalnie 2 zł. 40, półrocznie 4 zł. 80 gr. — rocznie 9 zł. 60 gr.
Konto P. K. O. Nr. 307.743.

ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: **Sosnowiec, ul. Sienkiewicza 5 Tel. 1-85.**

Wydawca w imieniu Towarzystwa Artystyczno-Literackiego: **BRONISŁAW GÓRECKI.**
Redaktor naczelny i odpowiedzialny: **MIECZYSŁAW OCIOSZYŃSKI.**

Ping-pong.

Prudenter agit qui miscet utile dulci — powiedział ktoś gdzieś i kiedyś — zapewne w bardzo odległej przeszłości, jak wnikliwie sądzić można z łacińskiej szaty przytoczonej sentencji.

Owóż takiem roztropnem mieszaniem pożytecznego z przyjemnem zajęły się chętliwie i żwawo zaszczytnie znane urbi et orbi (orbis — znana ajencja lub okręg sportowy) kluby o równie tajemniczem jak górnem zawołaniu „Ping Pong"

Ileż tu cennych i różnorodnych pierwiastków: uderzająca czułe muzykalne ucho przedziwna dźwięczność, sama dla siebie królestwo piękna stanowiąca, tajemnicze odwieczne echa ojczyzny Ghandiego, gdzie rzecz, owem hasłem obwoływana, ujrzała światło dzienne, głęboka myśl, umiejąca przemówić pozornie niezrozumiałą angielszczyzną nazwy do chwytliwego a odpowiednio nastawionego umysłu. I jaka myśl! Esencja-ekstrakt, stuprocentowa wytłoczyna maksymy o zdrowej, a więc pożytecznej zabawie, czyli przyjemności. Bo proszę — cóż głosi „Pac Pac" (Ping Pong w narzeczu ojczystem)? Oto ni mniej ni więcej a doniosłą w poczęciu, przebogatą w rozwoju i rewelacyjną w kolosalnie dobroczynnych skutkach nowalijkę.

Ping Pong jest grą!

Czyż trzeba więcej?

Grą domową, — godziwą i dostojną rozrywką. Więc gdy deszcz pada, czy śnieg pokrył tenisowe korty możesz, powinieneś, musisz grać w Ping Ponga. Bo i cóż wówczas czynić będziesz? Czy jest jakie inne równie godziwe i jednoczące tyle walorów zajęcie, któreby można uprawiać czasu deszczu czy zimy sub Iove? Ramajanę i Nala z Damajanti, choć także są z Indyj, już dawno przecież przeczytali profesorowie uniwersytetów — a „nowszych" nikt nie napisał jeszcze, zresztą ciężko się czytają, a Ping Pong zawsze jest świeży i taki lekki. Lekko się stoi przy długim stole, lekko trzyma rakietkę, lekko podbija piłeczki i tak jest lekko na duchu — „wesoło i letko", jakby w tem miejscu powiedział pewien letko strawny literat!

A przecież, co także chyba nie jest rzeczą do pogardzenia, łatwo tu (letko) o znajomości, towarzystwa, z których później kluby się tworzą, organizują turnieje, zjazdy organizacyjne, olimpjady. Gdzie tu kres, gdzie „pułap" wzlotów ad astra?

Ot, zdawałoby się, że piłeczka lata nad stołem i nic nadto, a przecież...

Ziemia jest kulą, piłeczka także... więc kulka do kulki, a zbierze się Ziemia i jej sprawy doniosłe.

Poruszymy z posad ziemię!

Evoe! Ping Pong!!

Om.

Z Teatru.

Oj, mężczyźni, mężczyźni

krotochwila w 4-ch aktach Kaz. Zalewskiego.

Sosnowiecki Teatr przebojem zdobywa należne mu w naszem społeczeństwie zrozumienie: ujmuje prostotą, zapałem pracy i cechującą go starannością wystawy. Ci i owi pomrukiwali; iż krotochwila „Oj, mężczyźni, mężczyźni", myszką trąci. Istotnie, ma trochę patyny, nie posiada też Fredrowskich walorów, — przypomina rytm życia sztuk Bałuckiego, Anczyca: odzwierciadla jednak ułamek epoki z przed 50-u lat, epoki, której typy w perspektywie dnia dzisiejszego wywołują huragan śmiechu, ale i sympatji. Jeszcze niektórzy z nas znali i oglądali te typy; w zawrotnym biegu przeszłości umknęły już z przed oczu.

Znika typ poczciwego obrońcy Kretońskiego i Cięciwikowskiej; coraz mniej dam, zazdrosnych o swych wybranych. A może i nie. Boć przed paru dniami w Warszawskiej Ziemiańskiej zazdrosna pani pogruchotała parasolkę na twardej głowie swego „pana i władcy". Natomiast mężczyźni oj. mężczyźni — bez zmian. Od młodszych latorośli aż do bielejących się łysin zawsze gotowi, mówiąc stylem p. Zagłoby, na widok podwiki koziołki wywijać, choćby łeb nawet mieli skręcić. Ci i owi dzisiaj, jak ów Łaszowski z Czempielińskim, wpadają w szeroko rozstawione sidła dam à la Tichard; płacą tytułem szantażów, a nawet rujnują się... Na zachodzie męskim — bez zmian.

Gra naszego miłego zespołu artystów stała na wysokości zadania sztuki.

Z zadowoleniem prawdziwem stwierdzić trzeba iż mija z naszej sceny „szarżowanie" typów, co obniża wartość gry i zraża publiczność „z wymaganiami". Typy Bisturkiewicza (p. R. Grudniewski), Kretońskiego (p. H. Kowalski), Cięciwikowskiej (p. M. Kossakowska), Albert Danna (p. S. Szabłowski) nosiły w sobie niebezpieczeństwo „szarży", która w każdej swej formie i istocie nie jest mile widziana; dzięki jednak głębiej pomyślanej grze artystów typy stanęły w ramach artyzmu który ujmuje publiczność dolną i górną.

P. Niczewska rolę Tichard opracowała inteligentnie. W pewnym momencie swego djalogu artystka roziskrzyła perły swego talentu. Suknia jej nie harmonizowała z frywolna jej rolą. Dobra na uroczystą wizytę. To samo dałoby się powiedzieć o sportowej marynarce Łaszowskiego (p. Z. Relski), przy surducie zeszłego stulecia p. Kretońskiego trochę to niezupełnie było zrozumiałe.

Grę p. Relskiego chce ponieść temperament. Mówię „chce", gdyż p. Relski od premjery do premjery skuteczniej panuje nad nim, a nawet zwycięża go. Tak trzeba...

P. B. Horowicz z przed miesięcy i p. B. Horowicz z dnia dzisiejszego — to dwaj różni artyści. P. Horowicz dzisiaj wstępuje na drogę wieku męskiego artysty. Artysta znajduje siebie, widzi prawdę, która dla niego ma być nieskończonością możliwości... Widzimy dobitnie, że praca jest przyjacielem talentu.

Młode żoneczki (p. H. Tańska i H. Kosieradzka) wydobyły z ról więcej, niż to im zakreślił autor. Nic dziwnego, że przyzwyczajamy się cenić naszą scenę.

Joasia w roli panny służącej — ciekawa.



DĄBROWSKO-ŚLĄSKIE ZAKŁADY DRUKARSKIE I WYDAWNICZE Sp. z o. o. w SOSNOWCU.
TELEFON Nr. 1-85.